Należytość pocztowa uiszczona ryczałtem

PISMO MŁODYCH RUCHU AGUDAT HANOAR HAIWRI „AKIBA"

CEIRIM

ROK 6 TOM II NR. 8

7 Adar 5696 KRAKÓW—LWÓW—WARSZAWA 1 Marzec 1936

ABONAMENT MIESIĘCZNY Zł. 0.30 CENA EGZEMPLARZA 20 GR.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: KRAKÓW, Wielopole 24 — Tel. 144-58.



Świat się rozwiera przed nami

ANDA EKER

W NOCY WOŁAJĄ WABIĄCO...

W nocy wołają wabiąco
imiona twoich kolonij
i szumią mi cicho nad głową
wachlarze wysokich traw.
Przychodzą do mnie kolory
wspomnienia, tony i wonie.
Zabierz mnie kraju odległy
do tej zieleni i zbaw.

W nocy za oknem śpiewają
ciemne tajemne rzeki
i szemrze morze z pod Jaffy
pluskiem tańczących fal.
I staje się bliskie to wszystko
co jest niepowrotnie dalekie
i zjawia się wtedy w tym mroku
to, co na imię ma: dal.

W nocy ten cyprys z Daganji
koło mnie smukle się chwieje,
jak w Jeruzalem, w zaułkach
po kątach czai się mrok.
A hjacynt pachnie, jak Saron,
jak cała Persja, nim dnieje.
I całkiem jest tak, jak wtedy,
chociaż przeminął rok.

W nocy, w pokoju, wstają
dawne, minione chwile,
bo księżyc zlewa na dachy
zielony i srebrny blask,
jak tamten, z ponad Kinereth
jak piękny księżyc z Galilu
gdy spinał obłok z jeziorem
klamrami różowych gwiazd.

ŚWIAT SIĘ ROZWIERA PRZED NAMI

(Garść myśli i refleksyj).

Rozmaici ludzie chodzą ulicą.

Jeden pędzi ustawicznie, czasu nie znajdzie, by się rozglądnąć dokoła. Trapi go jedna myśl, myśl o zdobyciu dla siebie jak najlepszego kęsa w znojnej walce o byt. Idzie zazwyczaj samotny, ludzie mało go interesują i on ludzi również nie.

Drugi: Ręce wsunął w kieszenie. Idzie powoli, wręcz flegmatycznie. Nie przejmuje go gwar uliczny, ani potrącenia przechodniów. On ma zawsze dość czasu. Spokojnie, rzewnie i rozlewnie płynie potok myśli o niebieskich migdałach niejednokrotnie, a czasami i o tem, jak uszczęśliwić świat i ludzkość. A ten świat tak daleko, daleko...

Trzeci: Kroczy szybko, lecz pewnie. Patrzy przed siebie i dokoła. Jest czujny, bystry i spostrzegawczy. Umie obserwować i myśleć. Otoczenie nie jest dlań nieznaną, rozlewną masą, z którą się zetknął przypadkiem. Otoczenie, to żywi ludzie, towarzysze wędrówki... Świat jest tu. Jest jego cząstką.

Rozmaicie ludzie patrzą na świat.

Rano mżył dżdżysty deszcz, ulice są zalane zimnem, żółtem, migotliwem błotem. Jesteśmy w żydowskiej dzielnicy. Ulice są ponure i szare mimo krzykliwego pogwaru miejskiego. Domy są odrapane i przeraźliwie smutne.

Patrzę. Idzie ulicą tragarz, jeden z wielu szarych żydowskich nędzarzy. Pcha ostatnim wysiłkiem ciężko załadowany wózek, to doprawdy nie na siły steranego wiekiem i mordęgą znojnego życia starca.

Ta kobieta z koszem obwarzanków, ma spierzchłe, zczerniałe, obrzmiałe dłonie i młodą jeszcze, choć zniszczoną i startą twarz. Pewnie doniedawna pracowała w inny sposób. Może była fabryczną wyrobnicą, może praczką... Cóż ją zepchnęło jeszcze niżej w dół drabiny społecznej? Może bezrobocie, głód, może aryjski paragraf fabrycznego przedsiębiorcy...

Wracają z chederu dzieciaki żydowskie. Są chude, przeraźliwie chude i wybiedzone. Mają nieledwie, że zielone twarze. Popołudniu znów powrócicie do waszych twardych ławek — matka ostatni kęs sobie z ust odbierze, by was tam posłać. I dla kogóż to harujecie biedne matki żydowskie? By wasi synowie pozostali w ghetcie zdala od świata, pracy i wolności?

Stoję przed oszkloną wystawą księgarską. Spoglądam na barwne okładziny. Istne konfetti autorów, krajów, myśli i języków. Tę

książkę czytałem. Mówiła mi o człowieku, który chciał poprawić świat, o człowieku, którego oplwano i obryzgano błotem. To była piękna książka, lecz jakże odległy był ten człowiek odemnie...

A te powieści wiodły mnie za oceany, prowadziły wskróś piaszczystych wydm, wskróś raf koralowych, na szaleńczych statkach poprzez odmęty morskich fal. Byłem w obcych krainach, nieznane widziałem ludy i narody.

A ta powieść o zdobyczach mówiła mi światów, o walkach wiecznych przez ludzi wiedzionych z żywiołem, tym, co poza nami i z tym żywiołem, co w duszy drzemie naszej...

Szukałem świata daleko. Było mi źle. Nie umiałem go szukać.

Wracam. Oto w zaułku stoi stary zmęczony człapak, zaprzężony do ciężarowego wozu i robi ciężko bokami. Daleko mu do ognistych rumaków, lecz dziś bliższy mi jest od mitycznych pegazów. Głaskam wyszarzałą, wydartą miejscami sierść obłego cielska. Drżenie przechodzi przez skórę końską. Czuję twarde, okrągławe żebra.

Spostrzegam na chodniku parę smutnych zimowych drzewek. garść wystroszonych gałęzi na schorzałym pniu. Jutro, pojutrze, może znów się obleką w zblakłą zieleń miejską. Dziś zaś — jakie to smutne — one właśnie, wiotkie, wyschłe, konające nieledwie, przypominają mi to, co mi powiedziała przyroda.

Leżałem wśród wysokich traw, popod zmurszałym pniem drzewnym z twarzą zwróconą ku niebu. Szeptałem z wiatrem, całowałem trawy i słońce. Widziałem pracowitą pracę mrówczego zboru, odłamałem kawał zwilgłej kory — tak jak przed wiekami i tak jak za setki lat pracowicie kuł w dębie swe ścieżki kornik, pracowity kowal, w dębowym miąższu.

I wówczas nagle pojąłem tę wielką prawdę. Świata nie trzeba szukać za nami. On jest w nas samych i dokoła nas. Należy tylko umieć szukać i patrzeć.

My jeszcze nie umiemy ni szukać ni patrzeć. Lecz jest jeden kraj ciasny i mały, lecz własny, własną krwią i znojem zdobywany. Tam powstaje do życia na nowo człowiek ukryty w Żydzie, dobry, wolny, sprawiedliwy człowiek. Tam się rozwiera przed nami w całej pełni zrabowany świat.

Przestałem tęsknić. Wiem już czego szukać. Przyjdę, powiem braciom i siostrom w kwucy, plutonie, organizacji. Trzeba patrzeć i myśleć mężnie, szeroko i bystro. Lecz trzeba też obrazy podpatrzone i myśli zdobyte znajdywać w sobie i w swym ludzie. To jest nasz odcinek życia, tak zdobywamy ojczyznę.

Czyż i oni tak myślą jak ja? — Ben Dow.

SOBOTA W DZIELNICY ŻYDOWSKIEJ

(„Itonenu" — pl. Szaron I., Kraków).

Pójdźcie, zaglądnijcie w dzień powszedni na ulicę żydowską. Do waszych uszu dojdzie nieopisany hałas, gwar. Natrętne okrzyki pchają ci się w uszy: „Słodkie mandarynki po 10 gr., 4 — za 50 gr.". „Para sznurowadeł za 10 gr."... Sznurowadła... słodkie.. itp. W sklepach półprzymkniętych również ruch. Tutaj chałwa, prawdziwa „grecka", tuż obok śledzie, tam znowu masło.

Posuńmy się dalej. Wstąpmy na jakieś pół-pogruchotane schody i posłuchajmy uważnie pod drzwiami.

Oto tutaj, przez nawpół otwarte drzwi przedostaje się głos skargi: Mendel sy nyś du ka geld, wus et men hant kochn? Taki Mendl naturalnie, nic nie odpowie, bo i cóż może odpowiedzieć, że niema? Lepiej nic nie mówić.

W drugiej izbie na łóżkach, stole i krzesłach leżą święte zwoje: To znowu mieszkanie sofejra. On sam pochylony, mozolnie pisze „parszijot". Smutno tu wszędzie. Ciężka, przygnębiająca atmosfera...

Jakże inaczej wygląda ta sama ulica w piątek wieczorem. Choć niewątpliwie tak samo brudna i zaśmiecona, wygląda jednak uroczyście i czysto. Sprzedawcy uliczni zniknęli, sklepy żydowskie zamknięte, ulice prawie puste.

Idźcie na te same schody, co niedawno. I tu inaczej. Głosu skargi nie słyszycie, gdyż taki Mendel, Jankl, przez cały tydzień gonił za zarobkiem tu i tam, byle sobotę przygotować. W mieszkaniach żydowskich z nastaniem soboty zmienia się nastrój, spokojnie jest i dobrze tu wszystkim. Przynajmniej raz jeden na tydzień mogą umknąć przed swoimi „wielkiemi interesami", zapomnieć o swem nędznem życiu. Sobota wynagradza im wszelkie przykrości tygodnia...

Dawid.

PURIM — WIOSNA

Tęskniliście? Bardzo tęsknili? Za wiosną? Za pierwszemi jaskółkami?

Ha! Za tą pierwszą jaskółką tęskniło się najbardziej. Jeszcze lód skuwał rzeki, śnieg ani myślał topnieć, a mróz sobie siedział na szybach, jak nigdy nic. Ledwie jednak mijały pierwsze dni Szwat, a już się liczyło: Jeszcze sześć tygodni, jeszcze pięć, jeszcze dwa...

O Purim chodziło! Gnaliśmy dni, jedne za drugimi, wypędzaliśmy je, jakby od nas zależał ich bieg.

— Co tu jeszcze marudzisz, — mówiliśmy, gdy na kalendarzu widniały ostatnie dni Szwat. Idź sobie — musisz przecież miejsca ustąpić drugim. Tu wszyscy czekają na Adar, a ty siedzisz na kalendarzu. Zrywaliśmy więc przedwcześnie bloczki i cieszyli się, gdy kalendarz już oznajmił Rosz Chodesz Adar.

Nie chodziło o wiosnę. Myśmy tam z zimą doskonale sobie radzili — przeciwnie — to ona nam rady dać nie mogła.

Tylko chodziło o Purim. O ten wesoły, pogodny, ruchliwy dzień beztroski. Beztroski? Ba, przez cały rok tylu trosk nie było, ile właśnie w ten dzień.

Zaraz zrana trzeba się troszczyć, by żadnego Hamana nie opuścić. To też przy czytaniu „Magitat Ester" zagłuszano każdego Hamana hałaśliwem tupaniem i głośnem trajkotaniem. A potem rozpoczynała się praca. Trzeba było w dziwacznem przebraniu przebiegać wszystkie mieszkania. Wszędzie zaglądnąć, wszędzie żart powiedzieć, a uważać, by nie być poznanym. Potem znów — już w „cywilu" — maszerować po mieście z wielkiemi tacami i znów się troszczyć, by przypadkiem wujek Chaim nie dostał daru, przeznaczonego dla ciotki Chany, a cóż-by to jeszcze było, gdyby się spóźnić do dziadka starego, który z większą jeszcze niecierpliwością wyczekiwał wesołego dnia!

Za wszystkie niedopatrzenia ponosiło się karę, ale mimo to kochało się te troski purimowe.

Bo jeszcze jedną mieliśmy troskę, o której jednak nikt nie wiedział. Tylko ja i młodszy brat.

W drugiej kamienicy, gdzieś na piątem piętrze mieszkała kobieta stara. Taka słabiutka była i głos jej tak dygotał, gdy mówiła do nas. A biedna była bardzo i tylko jedną wnuczkę miała. Maleńką — dziecko nieledwie. A myśmy lubili tę małą dziewczynkę, bo zawsze śmiała się wesoło, choć niezbyt wesołe miała życie.

W Purim, gdy wszystkie dzieci cieszą się słodyczami i jedzą ich bezliku — myśmy nie kosztowali niczego. To był dzień bezwzględnej wstrzemięźliwości i przestrzegaliśmy jej, jak postu w Jom Kipur. I to było właśnie największe święto.

Zato na małem poddaszu cieszono się ogromnie. Słodycze dumnie zdobiły stolik, a staruszka uśmiechała się do nas życzliwie.

— Wiem dobrze — powiedziała raz — skąd znajdują się nieraz pod drzwiami... i zaniosła się od kaszlu.

A myśmy zwiali. Nie chcieliśmy słyszeć nawet. To przecież nie wstyd, że przed drzwiami zostawialiśmy nieraz jajka, wzięte matce, lub owoce, kupione za oszczędności. Ale ona nie powinna wiedzieć od kogo.

Tylko w Purim można odważnie wejść i podać staruszce tacę, naładowaną słodyczami.



O K W U C Y

Chcąc zdać sobie sprawę z tego, jak winna wyglądać kwuca, musimy się zastanowić, jakie znaczenie ma kwuca i jaką rolę odgrywa w naszem życiu.

Kwuca jest najmniejszą jednostką w organizacji. Młodzi ludzie, równi wiekiem, charakterem, często też wykształceniem tworzą kwucę — małe społeczeństwo, które stawia przed sobą pewien cel do spełnienia.

Kwuca jest środowiskiem pracy. Nietylko zabawy, ale poważnej pracy nad sobą i nad rozwojem organizacji. Każdy z nas musi wiedzieć, że czeka go trudna droga przezwyciężenia siebie samego. Stać musimy przed faktem, że grupa ludzi, z którą teraz pracuję będzie mi towarzyszyła przez życie.

Zastanowić się musisz ty, ja i wszyscy, czy dość silny jesteś, by przezwyciężyć przeszkody, stojące na twej drodze. Kształcić charakter — oto dalsze zadanie kwucy. Pozbyć się egoizmu, ności postępowania grupowego — droga to żmudna i daleka.

Ważna nas odpowiedzialność czeka — za wszystko. Nikt z nas nie jest więcej winien, nikt z nas nie bierze na siebie nad-

miernych obowiązków. Równa odpowiedzialność — równe obowiązki, wedle każdego z nas. Równe starania w kierunku poprawy istniejącego stanu.

I wierzyć trzeba, że to, czego się pragnie, osiągnąć można. Trudno może — ale rezygnować nie należy.

Dorka z Hamakabim.
Grodno.

NASZA AUTONOMJA

Słyszeliście? — Dudek mówił, że pluton ma otrzymać autonomję!

Cooo?!! Co takiego? Nasz pluton — autonomję?

Tak! Ma się wybrać hanhagę plutonową i będziemy niezależni od hanhagi gniazda.

Wiesz — to świetnie!

A tak, ja już dużo o tem myślałem.

Szalom! Szalom!

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

W lokalu cicho, przytulnie, ciepło Na stoliku, nakrytym białym obrusem migocą dwa światełka sobotnich świeczek. To piątek. Zbiórka. Dudek mówi:

„Zastanówcie się, to od was zależy. Autonomja to ładna „rzecz".

Zbiórka trwa dalej... Potem śpiew, horra i rozchodzimy się wreszcie do domów. Na dworze mróz. Śnieg skrzypi pod nogami. Księżyc ciekawie przygląda się hałaśliwej gromadzie. — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — —

W lokalu gwar. Wszyscy mówią. Dudek uspakaja !

— Więc zgadzacie się ?

Tak ! Tak ! Tak !

— Czy myśleliście nad tem, kogo wybrać do hanhagi ? Naturalnie! To przecież bardzo ważne! Wybór pada na sześciu z nas. Oni z dumą przyjmują ten nieladajaki „urząd". Pluton obdarzył ich takiem zaufaniem. To wielki zaszczyt. I znowu śpiew, horra, a potem do domu.

Ale sześciu, ta szczęśliwa i poważna szóstka wychodzi ostatnia. Mają z sobą dużo do mówienia. Tyle zapału, tyle sił i energji. Praca ciężka i odpowiedzialna, lecz zrobią wszystko, co się da, by plutonu nie zawieść.

Irka T. Kineret
Nowy Targ

P L U S — M I N U S

W lokalu naszego gdudu wisi tablica sprawnościowa, która obrazuje pracę i postępy każdej kwucy. Bo trzeba wiedzieć, że każda kwuca otrzymuje za swój uczynek — znak. Za dodatni — plus, za ujemny — minus. Kto więc spełnia na czas dyżury, wywiązuje się ze swej pracy w gnieździe, nie opuszcza żadnego kursu nie spaźnia się na zbiórki — ten ma wiele plusów. Gdy zaś w rubryce kwucy widnieją minusy, to gorzej z tą kwucą. Zaraz widać, że tam coś szwankuje i że na sumieniu mają jakieś „grzechy".

Odbywał się właśnie w gnieździe „Dzień Ceirim". Pragnęliśmy wszyscy przyczynić się do ugruntowania naszego pisma, to też w dniu tym nasz gdud pracował intensywnie. Między kwucami rozgrywała się wielka rywalizacja. Miło było uganiać po mieście z egzemplarzami nowego numeru i wyścigować się — kto wcześniej przyjdzie na wyznaczone miejsce. Przyznać muszę, że chodziło nam nietylko o dobro „Ceirim", ale i o plus ,który miał się ukazać na naszej tablicy. To też nietrudno było znieść przykrości, jakie spotkały nas po drodze. Nie zrażaliśmy się też szorstkiemi odpowiedziami i bezwzględną odmową. Szliśmy wciąż, wciąż.

Zwyciężyła nasza kwuca. Mieliśmy najwięcej nowo-zwerbowanych abonentów.

Nie było jednak wielkiej różnicy, wszystkie kwuce bowiem wywiązały się doskonale ze swych zadań.

Na tablicy pojawiło się wiele plusów, a każdy cieszył się, że zrobił, co mógł.

Salka S. — Chawacelet,
Łańcut.

Ł A M A G I

Zima! Ile przyjemności przynosi nam ta pora roku, gdy świat roziskrzy się śniegiem i kryształami lodu. Dlatego zaraz, z pierwszym śniegiem, grandziarze pospieszyli na małą wycieczkę do parku Strzeleckiego. Ej, a nasi grandziarze są klawi i sypią kawałami, jak z rękawa.

Lecz i u nas, jak w każdem zresztą społeczeństwie, znajdą się też nieszczęsne łamagi, które humoru nawet na lekarstwo nie mają. To też nasza banda postanowiła ich rozruszać.

Jesteśmy całym gdudem w parku. My bijemy się śniegiem, kule furkoczą w powietrzu, śnieg osypuje się przez palce, zaczerwienione twarze, błyszczące oczy, a o n i nic. Pod płotem siedzą zmarźnięci, „nasi strasznie nieszczęśliwi".

A tu nagle... Cały grad kul osypuje się nad głową tchórzów. Kula goni kulę, gwar coraz większy, ruchy rąk coraz szybsze, lecz, o dziwo!... Oni zamiast brać nogi za pas i uciekać, silnie reagują na ten nagły atak i rzucają się na nas.

Widzicie więc, — a jednak można odnieść należyty skutek.

Sala L., Nowy Sącz.

„W A N D E R K A"

Z wielką radością powitaliśmy upragniony śnieg.

Podążamy wszyscy szybko do lokalu, a każdy przekonany w duchu, że dziś będzie napewno „wanderka".

Jak bomba wpadamy do lokalu — hałas, gwar, szum głosów: Wanderka, wanderka!

Szybko się zbieramy, radość rozpiera nam piersi: Wanderka —

Idziemy: Śnieg grubymi płatkami sypie nam w twarz, my jednak na nic nie zważamy — naprzód, naprzód. Wreszcie jesteśmy za miastem.

Ładujemy ręce kulami, ciężko ubitemi ze śniegu — bijemy się zaciekle — wojna, jak prawdziwa. Bij, bij!

Estka krzyczy wreszcie: Ratunku! Zlitowania! — Cała brnie w puszystym śniegu.

Pada komenda: Zbiórka!

Wmgnieniuoka formuje się dwuszereg.

„Jejsz lanu koach!

Wracamy do lokalu — do nitki przemoknięci.

Znużeni, lecz zadowoleni siadamy na ławkach.

Wanderką tą zapoczątkowaliśmy zimowe zabawy skautowe.

„I ja tam z nimi byłam,
Śniegiem ich waliłam —
Co słyszałam i widziałam
Tutaj opisałam".

Pepka, Bar Kochba
Rozwadów.

O SKŁADCE MIESIĘCZNEJ

Nadchodzi wtorek — muszę biedzić się nad tem, skąd wydobyć pieniądze na wkładkę miesięczną.

Przychodzę do lokalu — jeszcze niema kasjerki. Przyjdzie jednak wnet i tradycyjnym zwyczajem krzyknie:

— Dawać pieniądze!

Ledwie tak pomyślałam, otwierają się drzwi i już jest w lokalu.

Serce uderza żywo, bo niewszyscy mają pieniądze. Jeśli okazuje się, że większość nie zapłaciła, zdenerwowana niepowodzeniem woła, głosem pełnym wyrzutu.

— Każdy z was ma najmniej 10 groszy, ale nie chcecie dać!

Milczymy, szukając sposobów, jak uzyskać pieniądze.

Na drugi dzień to samo. Pytamy się nawzajem: masz dziś pieniądze?

Tu ktoś opowiada, jak ciężko było wydostać od ojca pieniądze, tam znów ktoś narzeka, że zdobyta „suma" nie pokryje długu.

Oddaliśmy kasjerce pieniądze. Sumienny z niej „urzędnik" — nigdy nie zapomni otworzyć książeczki i przeczytać głośno wszystkie zaległości.

I znów się martwię: Jak wyrównam te stare długi?

A tu sama nazwa naszej kwucy pomaga mi i wzmacnia: muszę mieć nadzieję!

Henia z kwucy „Tikwa"
Rymanów

RUDYARD KIPLING

GARM ZAKŁADNIK

(Ciąg dalszy).

Wisuska była w swym żywiole. Lubiła śledzić cały ruch, jak wozy ciągnione przez byki zablokowywały drogę, jak szły wielbłądy i pony. A także lubiła zaznaczać swą godność, gdy mijała niskich znajomych, biegnących w kurzu. Nigdy nie szczekała dla samego szczekania, lecz jej wysokie ujadanie znane było wzdłuż całej drogi, a inne psy odpowiadały jej, prowadzący byki odwracali głowy, by popatrzeć i z uśmiechem ustępowali z drogi.

Ale Garm nie dbał o to wszystko. Jego wielkie oczy zwrócone były na horyzont, jego wielka paszcza zamknięta. Był jeszcze inny pies w biurze, własność mego szefa. Nazywaliśmy go: Bob-gazeciarz, bo zawsze wyobrażał sobie napróżno, że widzi szczury na półkach z książkami i polując na nie, wyciągał stare stosy gazet. Bob był to dobroduszny idjota i Garm nie interesował się nim. Odwracał głowę koło drzwi, wołając: „Szczury, chodźże ze mną. Garm", lecz Garm wówczas zakładał przednie nogi i skulał się, pozwalając Bobowi płaczliwie narzekać za jego nieinteresującym się nim grzbietem. Biuro było tak wesołe w tych dniach, jak grób.

Raz — i to tylko raz — spostrzegłem zadowolenie Garma. Udał się na niedozwolony spacer z Wisuską pewnego wczesnego ranka w niedzielę i bardzo młody i głupi artylerzysta (baterja jego została właśnie w te strony przeniesiona), próbował skraść ich oboje. Wisuska oczywiście była za mądra, by brać jedzenie od żołnierza, zresztą dopiero-co skończyła śniadanie. Oddaliła się więc

z wielkim kawałem baraniny, jaką żywią nasze wojsko, położyła ją na mej werandzie i patrzała, ciekawa, co ja o tem myślę. Zapytałem, gdzie jest Garm. Biegła przed koniem pokazując mi drogę.

Po mniej więcej mili drogi ujrzałem artylerzystę, siedzącego bardzo sztywnie na brzegu rowu z zatłuszczoną chusteczką na kolanach. Garm stał przed nim z miną zadowoloną. Gdy człowiek ten poruszył ręką lub nogą, Garm kłapał zębami. Zerwany sznur zwisał z jego szyi druga część drżała w dłoni żołnierza. Tłumaczył się, patrząc wprost przed siebie że spotkał psa (przeklinał go strasznie!) idącego samopas i że chciał go zabrać do fortu, by zabić go, jak się to robi z bezdomnemi parjasami.

Powiedziałem, że nie wydaje mi się, by Garm był podobny do bezdomnego parjasa, ale jeśli uważa to za wskazane, niech go lepiej zabierze do fortu. Odrzekł, że tego nie zrobi. Niech więc idzie sam do fortu. Odrzekł, że teraz tam iść nie chce, ale może ostatecznie odejść, gdy tylko odwołam psa. Nakazałem Garmowi, by go odprowadził do fortu i Garm eskortował go uroczyście aż do bramy, półtora mili w upale słonecznym, a ja powiedziałem wartownikowi, co się stało. Młody artylerzysta był wściekły, gdy zaczęli się z niego śmiać. Kilka regimentów — powiedziano mu — próbowało już swego czasu ukraść Garma!

Tego miesiąca gorące powietrze zapłonęło już na dobre, a psy spały w łazience na chłodnej wilgotnej posadzce, wgłębionej na basen. Co rano, gdy tylko służący napełniał basen, wskakiwały do wody i co rano służący musiał drugi raz napełniać basen. Powiedziałem mu, że równie dobrze może napełnić małą balję przeznaczoną dla psów.

— Nie — odrzekł — to nie leży w ich zwyczaju. One-by nie doceniły tego. Pozatem w wielkim basenie mają więcej miejsca.

Służący od *punki* *) zapoznali się bliżej z Garmem. Zauważył on, że gdy wachlarz się zatrzymuje, wołam na służącego, prosząc, by silniej pociągnął. Jeśli człowiek ten jeszcze spał, budziłem go. Przekonał się też, że jest to miło, leżeć w tym wiewie powietrza pod *punką*. Może być, że Stanley uczył go o wszystkiem. W każdym razie, gdy punka zatrzymała się, Garm warczał i nasrożał się na sznur, a gdy to nie budziło służącego — prawie zawsze jednak budziło — dreptał doń i coś mówił śpiącemu do ucha. Wisuska była mądrym pieskiem, ale nigdy nie mogła zrozumieć łączności *punki* z służącym. Tak więc Garm zapewniał mi wdzięczne godziny chłodnego snu. Ale był poprostu nieszczęśliwy — jak człowiek. I w swej nędzy tak się mnie trzymał, że zauważyli to inni i zazdrościli mi go. Jeżeli przyszedłem do drugiego pokoju, Garm szedł za mną. Jeśli przestawałem pisać, głowa Garma już spoczywała na

*) przyrząd do wachlowania.

mej ręce. Jeśli odwróciłem się na poduszce, Garm już stał obok, gdyż wiedział, że ja jestem jedynem ogniwem łączącem go z panem jego i w dzień i w noc, i w noc i w dzień oczy jego o jedno pytały:

— Kiedy się to skończy?

Żyjąc tak z tym psem, nie zauważyłem, że jest bardziej niż normalnie przybity upałami. Aż jednego dnia ktoś powiedział mi w klubie:

— Pański pies umrze za tydzień lub dwa. To cień już tylko.

Wówczas zacząłem napychać Garma żelazem i chininą, której nie cierpiał. Byłem przerażony. Stracił apetyt i Wisuska mogła zjadać mu obiad z przed nosa. Nawet to nie skłaniało go do jedzenia. Zwołałem więc najlepszych doktorów, jacy tu byli: kobietę-doktora, leczącą chore żony królów i generalnego inspektora weterynarji deputowanego na całe Indje. Badali symptomy choroby. Opowiedziałem jego losy, a on leżał na kanapie, liżąc mi rękę.

— Umiera z powodu złamanego serca — rzekła nagle kobieta.

— Dalibóg! —rzekł inspektor. — Zdaje mi się, że Mrs. Macrae ma zupełną rację — jak zwykle.

Najlepszy doktór w mieście napisał receptę, a inspektor weterynarji przejrzał ją potem, ażeby upewnić się, że dawki są w psich proporcjach. To było po raz pierwszy, że doktór pozwolił, by jego recepty były kontrolowane. Był to silny środek pokrzepiający i postawił biednego psa na nogi na tydzień czy dwa. Potem znów zaczął cienieć. Poprosiłem jednego znajomego, by wziął go w góry, jeśli tam się udaje i znajomy ten zajechał przed dom z klatką na wozie. Garm jednem spojrzeniem objął sytuację. Zjeżył szerść. Usiadł przedemną i wydał najokropniejsze wycie, jakie kiedykolwiek słyszałem. Krzyknąłem do człowieka by natychmiast wyruszał, a gdy tylko wóz opuścił ogród, Garm położył głowę na mych kolanach i zapłakał. Tak dowiedziałem się o jego odpowiedzi i zająłem się wyszukaniem adresu Stanley'a w górach.

W sierpniu miałem się sam udać w chłód. Dawano nam miesiąc urlopu rocznie, jeśli nikt nie zachorował i wykorzystywaliśmy ten miesiąc, jak się dało. Naprzód pojechał szef z Bobem-gazeciarzem. Gdy wyjechali, powiesiłem sobie kalendarz nad łóżkiem i odrywałem kartkę po kartce, aż powrócili. Wisuska pięć razy już była ze mną w górach. Rozkoszowała się chłodem i wilgocią i pięknością ogniska w lesie — tak jak ja.

— Garm — rzekłem — jedziemy do Stanley'a, do Casauli! Casauli — Stanley — Stanley — Casauli — powtarzałem tak ze dwadzieścia razy. To nie była Casauli, lecz jakaś inna miejscowość, przypomniałem sobie jednak, że tę nazwę podał mu Stanley w ów

wieczór w ogrodzie. Wówczas Garm zaczął drżeć — potem szczekać — potem skoczył na mnie wywijając ogonem.

— Nie teraz — rzekłem, podnosząc rękę. — Gdy powiem: z derki i kołnierz szczelnie zapinany, jaki Wisuska zawsze nosiła w górach, celem uchronienia się przed nagłem zimnem i zakradającemi się lampartami i pozwoliłem im wąchać i naradzać się nad tem. Oczywiście nie wiem, co sobie powiedzieli, ale zamieniło to Garma w innego psa. Oczy jego błyszczały. Szczekał radośnie, gdy mówiłem do niego. Jadł i zabijał szczury przez całe następne trzy tygodnie, a gdy zaczynał skarżyć się, wystarczało tylko powtórzyć: „Stanley — Casauli", aby go rozweselić. Szkoda, że przedtem nie wpadło mi to na myśl.

(dokończenie nastąpi).

WITAMY KOLEGÓW „PO FACHU"

Z Nowego Sącza donoszą nam:

Przy gdudzie naszym utworzyła się redakcja, która wydaje gazetkę „Hahejd". Gazetka wychodzi co dwa tygodnie i cieszy się ogólnem zainteresowaniem.

Prowadzimy następujące działy: Literacki, sportowy, humorystyczny, dział zagadek i z życia gniazda. Gazetka jest barwna.

Jak widzicie i Nowy Sącz zaczyna konkurować nawet z „Ceirim". Lecz nie myślcie, że teraz zapomnimy już o naszem ulubionem „Ceirim".

Z pierwszej zbiórki redakcji przesyłamy Wam serdeczne Szalom.

Redakcja „Hahejd".

Na fali czasu

Ciekawe argumenty wysunęła komisja adlojadowa magistratu tel-awiwskiego przeciwko urządzeniu

ADLOJADY PURIMOWEJ

w tym roku. Oprócz momentów natury technicznej (brak czasu, środków finansowych itp.) podawane są momenty ideowe, jako decydujące. Zdaniem komisji, sytuacja jest za poważna — z jednej strony widmo Rady Legislatywnej w Palestynie, z drugiej dalsze wzmożenie prześladowań antysemickich w Niemczech i naprężony stan na całym prawie świecie — by móc drogocenny nam czas i środki trawić na zabawę karnawałową. To może jest piękny zwyczaj, ale w obliczu tak poważnych niebezpieczeństw — nie pora na zabawy! Po krótkiej dyskusji przyjęto jednogłośnie tę uchwałę. Postanowiono jedynie urządzić dla dzieci widowisko, karnawał itp.

Szkoda, że takiego zrozumienia dla sytuacji żydostwa nie wykazuje się chociażby w sprawie jednolitego frontu narodowego.

Albowiem, jeśli chodzi o nasze położenie, to zrozumieć musimy, że niszczycielskie siły, działające na naszą niekorzyść chwytają się bylejakiego faktu, rozdmuchują do nieprawdopodobnych rozmiarów i używają jako broni przeciwko nam. Tak było z faktem rzekomego

ZBEZCZESZCZENIA KOŚCIOŁA BOŻEGO NARODZENIA W BEJT LECHEM.

Fakt w rzeczywistości drobny urósł do nieprzeciętnych rozmiarów: Kościół Bożego Narodzenia zwiedzany jest przez licznych turystów, również Żydów. Niedawno weszła do kościoła grupa młodzieńców i dziewcząt żydowskich. Jeden z nich popełnił nietakt, wchodząc do kościoła pod ramię z dziewczyną. Błahostka, gdzieindziej przeszłaby bez echa. Traf jednak chciał, by tę błahostkę zauważył pewien antysemicki Arab-chrześcijanin. I zaczęło się. Najpierw nagonka w samem Bejt Lechem, następnie zażalenie u władz i aresztowanie całej grupy turystów, później depesze na wszystkie strony świata o „świętokradztwie żydowskiem, zbezczeszczeniu grobu Zbawiciela" itp. Depesze te dotarły nawet do papieża. Na świecie dały się słyszeć głosy oburzenia. Nikt, zrozumiałe, nie starał się dotrzeć do sedna rzeczy, wystarczyła pieczątka żydowska. Huzia na Żydów! W Bejt Lechem zamknięto kościół dla „niearyjskich" turystów. Do ogólnego oburzenia dołączył się również głos muftiego jerozolimskiego. I on — mahometanin — czuł się „dotknięty do żywego".

Sąd jednak palestyński uznał całą rzecz za niegodną zastanowienia się zbyt głębokiego i sprawę przeciwko turystom żydowskim umorzono, skazując tylko jednego z nich na niską karę administracyjną za uderzenie Araba. Nie o to jednakże chodziło mąciwodom. Oni zrobili już swoje. Była wrzawa, wzburzenie — to najważniejsze.

Wniosek z tego jeden: Musimy się bronić.

Jak? Na to niech da odpowiedź

JEDNOLITY FRONT ŻYDOWSKI PRZECIWKO ZAKAZOWI UBOJU RYTUALNEGO.

Całe żydostwo na świecie stanęło do walki z tym wrogim nam przepisem. Wbrew jakimkolwiek różnicom ideowym, czy politycznym. Od Bundu do Agudy. Zwarta akcja na całym świecie zdąża do wyperswadowania rządowi polskiemu wprowadzenia zakazu uboju rytualnego. Zanotowano dotychczas zgromadzenia protestacyjne prawie we wszystkich miastach Polski, w Palestynie, w Stanach

Zjednoczonych, w Londynie, ze wszystkich stron nadchodzą noty protestacyjne do ambasad i poselstw polskich zagranicą.

Umiemy być solidarni w obliczu niebezpieczeństwa.

Poznajmy się!

SZALOM WAM!

Już wreszcie napisałam znowu list do Was, lecz teraz, gdy się już na to zdobyłam — wypada mi pisać pożegnania do „Ceirim". Bowiem w ostatnie Chamisza-Asar b'Szwat kwuca nasza odbyła próbę i przeszła do gdudu „Sollim". Ale pracy było wiele przed próbą. W lokalu nie słychać było nic innego, jak „księga skauta, historja sjonizmu, węzły, mundurki skautowe itp." — bez końca. W głowie się kręciło z ciągłej wrzawy i gorączkowej pracy. Nie znaczy to, że tylko przed próbą tak nasza kwuca pracowała. Praca trwa stale, tylko przed próbą jest bardziej gorączkowa.

Sprawności odbywały się w formie dyskusji. Po próbie był piękny raport, po nim zaś pogadanka i wieczornica.

Było ładnie. Panował taki prosty, nieprzymuszony nastrój. A teraz nie chce mi się poprostu wierzyć, że jesteśmy już w gdudzie drugim. To jest jednak wielka odpowiedzialna rzecz — być członkiem gdudu „Sollim". Spadają na człowieka poważne obowiązki, nie wystarczy kontynuować pracę, lecz trzeba wiele rzeczy poważniej pojmować.

Ostatnio kwuca nasza dużo się nad tem zastanawiała i doszłyśmy do wniosku, że musimy stanąć na wysokości zadania. Dziwnego doprawdy uczucia doznawałam, gdy opuszczałam gdud Wasz (teraz już „Wasz") — żal z jednej strony, z drugiej zaś radość. A gdy popłynęła na raporcie „Techzakna", postanowiłam stać się godną miana „Solej".

Żegnam Was najserdeczniejszem Szalom!

Etka W.

Kwuca „Petach Tikwa" — Jasło.

P. S. Teraz nasza kwuca nazywa się „Lacr" — kuświatłu.

MIŁY PODARUNEK

Pluga „Rcon Haam" w Krakowie donosi nam:

Onegdaj wieczorem zawitali do nas członkowie plutonu „Szaron" z Krakowa z pięknymi podarunkami. Godne podziwu są te podarunki, rzeczy użyteczne i piękne. Koszyki na pieczywo, obrusiki, serwetki, fartuchy dla kucharek i inne drobiazgi do kuchni.

Serdeczne Toda im!

Wydawca: Związek Skautowej Młodzieży Żydowskiej w Krakowie.

Redaktor odpowiedzialny: Ignacy Nichthauser.

Drukarnia Pospieszna pod zarz. A. Lehrhafta, Kraków, ul. Karmelicka 34.